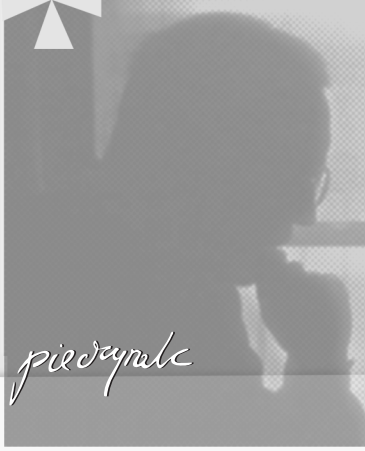


OPOWIADANIA po napisaniu W RZESZOWIE i SI-WI

marcin piedrymale

ZACZĘŁO SIĘ... DAWNO STĄD

eż to jego święte prawo – wtrąciłaś mi się trochę w pół zdania jakby, jak to zresztą
w żywej rozmowie (i trochę jak doświadczony adwokat z urzędu, żeby nie było za
m zostanie powiedziane za dużo) – żeby o sobie i o tym, w czym brał udział,
dobrze i jak najlepiej. I żeby chwalić się, a przez to chwalić też sprawę, której służył;
rót – dobry jestem, bo dobrej sprawie służyłem.
tus diaboli. Albo advocata...
nawet i nie-święte – dodałaś, jakby po krótkim zastanowieniu – tylko ludzkie, bardzo
o takie... bardzo naturalne, a czasem może nawet – aż za bardzo. I w sumie, no tak:
sze niż większe. Ale... prawdziwe, niestety.
nie to zrobiłaś, wiem. Chociaż po co – nie wiedz
żeby tylko wpaść niby w złość i krzykiem niby z
a próbowała zrobić... nie raz... kiedyś; i w ten sp
siebie – jakby, a może i bardziej. A ja wtedy,
bardziej... w końcu chyba zrozumiałem jej moty
asem może rzeczywiście za dużo – i niezdrowo.
rzez to z prawdy w końcu tylko narrację się ro
iej tak, jak mi się wydawało, że będzie odpov
spokojniej, jakbym cytował bardziej cudzą mą
awdą, jest tylko gruntem dla wielu różnych op
.
o się wszystko od tego, co przeczytałem w książ
tórej ja, ucieszony z tego niespodziewanego sp

NIE ZA BARDZO

ie trochę, gdy się dowiedziałeś
oże dlatego, że wydawało mi się,
właściwie zwykłą urzędniczką")
... kiedyś. A zapytałem cię o to naprawdę po to,
z tę robotę?
wdę chciałem, żebyś odpowiedziała: tak.
, że tak mi odpowiedziałaś.
– powiedziałaś.
n rozwinęłaś to swoje „tak" — bardzo fa
nie tylko dlatego, że to, co robiłam wc
o mówią. Czyli po to tylko, żeby nie u
mi to wyjaśnić. I jakbyś zamyśliła się
zice, nie? Oni chyba po to głównie
nak do na pewno lepszej teraźniejszoś
a zmienia. — I uśmiechnęłaś się, jakb
– I mam nadzieję, że na lepsze. Albo
bie, przekraczając siebie...
na krawędzi, co? — zażartowałem.
nie udało mi się, żart mi się udał; bo r
Bo niczego nie mogę być za pewna: b
eż inaczej. Ale — i na tym chyba ta
tylko „inaczej". Bo chyba właśnie o
stwa" rozbroić — i zrobić z nich nie tal
inność... to już przecież prawie jakb
m, że jesteśmy inni.
ś taki, można by rzec, pogranicznik no
nawet po-granicznica! — zapropo
io". — Czyli taka co to pilnuje „po-gr
ż tylko „post-granica". I żeby różnicon
ugim.
to nieco złośliwie powiedział o tobie
się w tobie, chociaż to już tyle lat
ca, ani na tak, ani na nie, i w całkiem

TU BYŁA CERKIEW...

Zanim doszliśmy do znaku „UWAGA NIEDŹWIEDZIE", który – z powodu swojej całko
nie-codzienności – wywołał we mnie dziwny skurcz wewnętrznego ni to śmiechu
wstąpiliśmy jeszcze do restauracji w budynku, przed którym zaparkowaliśm
w jednym z których i ja zostałem na tę wycieczkę przywieziony – żeby „może troc
zjeść" w tym „ostatku cywilizacji", jak to wyraził kolega. Wybór był niewielki, a
jakby optymalny dla tych, do których i ja lubię należeć, którzy z jednej strony
całkiem bez wyboru", a z drugiej – żeby też ten wybór nie był „niepotrzebnie z
gulasz czy ogórkowa?

– No, chyba gulasz – odpowiedziałem – jeśli jesteśmy przed. Bo ogórkowa to...

I spojrzałem na kolegę sprzed lat: czy zrozumiał? I umiałem dojrzeć w j
odpowiedź, którą chciałem zobaczyć: chyba zrozumiał. Nie, nie chyba, na pewn
z pamięci! Bo jakże mógł nie zrozumieć – i zapomnieć! Zdarzało się nam nieraz

. Takie
„zrozu
m wy
czając d
wycieczki. I jedli każdy swój gulasz raczej bezmyślnie, gapiąc się na przyrodę, które
choć to przecież leszczady, czyli
Zeszliśmy z płyty parkingu, na którym
sażerów, którzy podobnie jak my przyjec
można było czytając rejestracje), żeby
wśród tutejszej przyrody, o tej porze roku już bardzo zielonej, a tego dn
niebieskim i prawie bezchmurnym

LINIA 27...

Autobus linii 27 w Rzeszowie jedzie do ulicy Cienistej. Dowiedzieć się o tym może każdy – cz
także – kto tylko zobaczy ten autobus podjeżdżający do przystanku: nad szybą front
informacja ta wyświetlana jest obok numeru linii: CIENISTA CMENTARZ. Dla rzeszowian,
których codzienność w Rzeszowie jest naturalną częścią ich życia, to żadna rewelacja: b
przecież normalna rzecz, że każdy autobus ma jakiś numer i dokądś jedzie, zgodnie z planem
swojej trasie. Natomiast dla tych, którzy na co dzień równie normalnie dają sobie radę
Rzeszowa, bo ani trochę nie są z tym miastem związani, to tym bardziej żadna rewelacja
ważna informacja: bo kogo z nich to obchodzi, jaki numer autobusu jedzie w Rzeszowie akura
ulicy Cienistej (podobnie zresztą jak do jakiejkolwiek innej – tam). Ja jednak, jako przybysz,
należę – całkowicie i definitywnie, i przynajmniej na razie – do żadnej z tych dwóch grup; jes
tu nie stąd. I dlatego dla mnie to jest jednak coś: jazda autobusem linii 27 w Rzeszowie. Co r
dość regularnie już od jakiegoś czasu. Choć do samej ulicy Cienistej nie dojechałem ni
przynajmniej jak dotąd (wysiadam wcześniej), a więc o tym, czy na końcu tej trasy na pewno
ulica Cienista – nie mogę powiedzieć z całą pewnością. Ani cmentarz...

© copyright by marcin piedrymale
rzeszów 2025 (+/gliwice 2017)

druk własny autora
projekt okładki i skład: jw.

5 I PISARZY DWÓCH NIEBYŁYCH – W DRODZE
13 LINIA 27…
23 PO OKAZANIU.
33 TU BYŁA CERKIEW…
41 ZACZĘŁO SIĘ… DAWNO STĄD
51 NIE ZA BARDZO
61 SI-WI
79 PO EUGENIUSZU – AŻ TYLE
87 PO WYSTĘPIE: PISARZ PO DRODZE
97 NIEFAJNA SPRAWA
107 DENKMALE
115 IN MEDIA RES!
125 SPOTKANIE
137 NIEDOSZŁE SIĘ UDANIE

Od razu i zawczasu – czyli już na samym początku, albo nawet jeszcze przed nim – szczerze i należycie dziękuję wszystkim, którzy do powstania tych tekstów się przyczynili – aktywnie bądź biernie. Bez nich (i bez ich inspiracji – aktywnej bądź biernej) zapewne nie mogłyby one zostać napisane.

marcin piedzywiatr

I PISARZY DWÓCH NIEBYŁYCH – W DRODZE

To mogło było się zdarzyć raczej dawniej – bardziej niż dzisiaj. To mogło się zdarzyć dawniej, gdy podróżujący pociągiem najpierw po prostu kupował w kasie bilet, bez rezerwacji i bez żadnej pewności, w jakich warunkach przyjdzie mu podróżować tym razem – chociaż z doświadczeniem, które podpowiadało raczej gorsze warianty niż lepsze – a potem, gdy nie udało mu się znaleźć miejsca siedzącego (czyli znowu: za małe pociągi, zbyt liczni ludzie), stał na korytarzu, mając przed nosem okno, za którym mijały mu obrazki (o ile oczywiście pociąg akurat nie stał), i gdzie co jakiś czas musiał rozpłaszczać się na tym oknie, żeby przepuścić za swoimi plecami kogoś, kto sunął uparcie przez zatłoczony korytarz przed siebie, wiedziony najwidoczniej optymizmem, że „dalej może będzie luźniej". I gdy, żeby w jakikolwiek sposób nie być tylko w tym tłoku tu i teraz, ale może jakoś mimo wszystko inaczej jakby i gdzie indziej, miał człowiek do wyboru

w zasadzie albo tylko własne myśli albo książkę, która tym myślom pomogłaby w realizacji zamierzonego planu: być choć trochę gdzie indziej – i inaczej. Albo – była jeszcze i taka możliwość, z której wtedy korzystano na pewno częściej niż dziś, żeby nie uciekać aż tak daleko od aktualnej rzeczywistości: wdać się w rozmowę z przypadkowym towarzyszem podróży. Tak, bywało, że w zatłoczonych pociągach ludzie ze sobą rozmawiali. A na dłuższych trasach, zdarzało się – prawie znajomości zawierali. Takie wprawdzie tylko „podróżne" i przygodne – doraźne i bez dalszego ciągu – ale jednak.

Chociaż i wtedy także – aż takie rozmowy raczej nie przydarzały się zbyt często.

Może także dlatego, że były to czasy, gdy książki były jeszcze książkami (choć i wtedy próbowano puszczać podróbki, na które jednak wtedy jeszcze mało kto dawał się naprawdę nabierać), a czytelnicy – czytali bardziej.

Tak, może tak wtedy było – bardzo dawno temu. Czyli, z dzisiejszego punktu widzenia – prawie nigdy.

***

Ale przypuśćmy – bardzo optymistycznie – że zdarzyło się to jednak w dzisiejszym świecie, mimo wszystko. Tak, w tym świecie, w którym rozwój technologii komunikacyjnych i mediów społecznościowych jako pośredników w tej (i takiej) komunikacji jest już tak zaawansowany, przerośnięty i autonomiczny, że w praktyce poza nimi coraz trudniej człowiekowi odezwać się do drugiego, a jego uspołecznienie – jako zwykła rozmowa, w mowie potocznej praktykowana i bezpośrednia – jest coraz trudniejsze nie tylko do uczynienia, ale także powoli już chyba także do wyobrażenia. W pociągu, gdy w przedziale siedzi sześć osób, dzisiaj normalnie to może tylko jedna z nich nie siedzi w telefonie – bo akurat przysnęła i odpoczywa trochę od całego świata i poza nim. O tym, żeby człowiek odezwał się do współpasażera – zaczepił go, znaczy się – coraz trudniej mówić jak o czymś normalnym, jakby to było już dziwactwo jakieś po prostu – a może nawet już prawie napaść i naruszenie nietykalności osobistej drugiego człowieka.

On jednak to zrobił: zaczepił mnie – i naruszył moją nietykalność.

Bo też dałem mu do tego powód. Czytałem książkę – taką papierową – jako jedyny w tym przypadkowym towarzystwie i doraźnej mini-społeczności, którą byliśmy tymczasowo jako podróżni.

Wyszedł za mną na korytarz, gdy postanowiłem trochę rozprostować kości o postać chwilę przed szyba okienną, za którą mijał mnie świat, przez który wiózł mnie pociąg do kolejnego celu. Stanął obok i też patrzył przez jakiś czas przed siebie, za okno, zanim wreszcie się odezwał.

– To pan jeszcze książki czyta, jak widzę – zagadnął. I dodał zaraz: – Dlatego przepraszam, że zaczepiam, ale pomyślałem, że jeśli tak, to… może mogę to zrobić. Bo pan książkę czyta…

Uśmiechnąłem się, jakby przyznając mu rację: tak, jeśli ktoś książkę czyta, to…

– I co – ciągnął tymczasem dalej – pewnie z empiku, nie? – I nie czekając na odpowiedź, przeszedł do ofensywy: – No przecież, empik, jakżeby inaczej! Czego tu nie ma! Komiksy, gazety, kubki i torby z fajnymi napisami, poradniki turystyczne i przewodniki kulinarne… wszystko na literach robione. Całe mnóstwo pewnych i wcale nie tak trudnych przepisów na to, jak twoje fajne życie zrobić jeszcze fajniejszymi; albo jak szybko i łatwo dać sobie radę w tym życiu z tym, co jednak niefajne. Życiorysy piłkarzy – ja nie mogę! I nawet książki – takie prawdziwe lub do prawdziwych najbardziej podobne – też jeszcze tu są! Choć są one tutaj trochę jak Indianie w Ameryce, którym najpierw ich ziemię zabrano, a dopiero długo potem – gdy już się z nimi zasadniczo rozprawiono – pozwolono łaskawie zostać tu nielicznym niedobitkom: a niech se tu żyją – byle nie za bardzo.

I tu zaskoczył mnie i zdziwiłem się – bardzo. Ale najbardziej nie tym, co powiedział, ale tym, że w ogóle to zrobił – miał odwagę.

– Ale gdybyś pan szukał więcej literatury, takiej dla czytelników bardziej czytających, to… może lepiej, żebyś spróbował gdzie indziej: w księgarni. Są ponoć jeszcze gdzieś jakieś, niektóre nawet jeszcze rzeczywiście, prawdziwe lub przynajmniej do prawdziwych bardziej podobne…

I który z nas jest tu bardziej n i e - n o r m a l n y, pomyślałem prawie mimowolnie – lub bardziej sfrustrowany tym, co jako normalność zdaje się dominować w świecie, który nas

„coraz bardziej otacza", a na którą to normalność żaden z nas nie czuje w sobie ochoty albo gotowości do uznania jej za faktycznie wystarczająco normalną normę? I uśmiechnąłem się – do nas obu. Bo może aż taka odpowiedź na moje pytanie nie była tu wcale potrzebna, który bardziej... Bo tak czy owak, byliśmy chyba siebie warci...

– No... – powiedziałem na zgodę. Ale nie po to, żeby przyznać mu od razu rację w całej pełni: – Trochę tak jest... chyba. Może...

– Może chyba! – podchwycił. I szedł dalej ze swoimi zarzutami wobec świata: – A czytelnicy... jacy są dzisiaj: też tacy raczej tylko „chyba"!

Moje podejrzenia na temat mojego rozmówcy powoli zaczęły nabierać bardziej jakby bardziej konkretnych kształtów, choć wciąż jeszcze miałem jego obraz jakby za mgłą.

– Kiedyś to tak – mówił dalej – byli czytelnicy! A już na pewno bywali – częściej niż dzisiaj! A dzisiaj... ci, którzy nawet używają wciąż książek „w jakiś sposób", często nie są to już tacy czytelnicy jak kiedyś; w porównaniu z tamtymi, ci dzisiejsi to już często coraz bardziej raczej „byli czytelnicy" – jako „użytkownicy książek". Niestety, taka prawda... Bo oni już nie czytają! Lub przynajmniej nie czytają tak jak się kiedyś czytało. A jeśli mimo to czytają jakoś, to może dlatego – lub dzięki temu – że samo słowo „czytanie" oznacza dzisiaj już nie to co kiedyś: konsumpcję liter!

Obraża tych, których nie zna, pomyślałem. Obraża ich, bo ich nie poznał, a zamiast nich poznał tych, których ani spotkać, ani poznać pewnie by nie chciał – ale spotkał, niestety, i poznał. Trafił na podróbki. I obraził się na nich; bo oni go obrazili – a przynajmniej tak mógł to odczuć. Bo niektórzy z nich, z tych udawanych czytelników, byli nie tylko głupi, ale do tego jeszcze bezczelni i na pewno aż nieprzyzwoicie hałaśliwi, jeśli idzie o ich „znanie się na książkach, które warto...".

– I pisarze... też nie lepsi – mówił tymczasem dalej. – Pisarze też byli inni niż dzisiaj; bo inny był powód, dla którego pisali! Kiedyś pisali, mówiąc najprościej, po to, żeby dać czytelnikom do myślenia – i jeśli nawet nie przede wszystkim po to, to też po to – bo też i sami sobie dawali do myślenia... pisząc. A dzisiaj... dzisiaj książek może już w ogóle nikt nie „pisze", tylko się je „produkuje" – jak meble na wymiar: pod

klienta. Żeby klient był zadowolony! I już nie „książki" może, jako literaturę, ale – „rzeczy fajne w czytaniu".

Mówił słowa coraz prędsze, a one z kolei jakby go jeszcze bardziej napędzały. I zapędzał się – w tym mówieniu i w słowach – coraz bardziej. I ponosiło go – coraz bardziej.

Ale mógł tak wygadywać „w nerwach", bez zahamowań i nie przebierając w słowach, może właśnie dlatego, że mówił do w sumie obcego, który jedynie przypadkowo i chwilowo wydać się mógł mimo wszystko bliższy, niż był w istocie – do kogoś, kogo w tej chwili ma przed sobą, ale kogo już całkiem za niedługo będzie miał całkiem „za sobą"; i najpewniej nie spotkają się już drugi raz – po co więc starać się o to, żeby robić dobre pierwsze wrażenie... na przyszłość?

I ja też mogłem skorzystać z tego prawa – do bezpośredniości.

– Pan... pisze? – zapytałem tak wprost, jak to tylko możliwe. – Pan... jest autorem?

– Co? – Udał zaskoczonego, albo naprawdę był zaskoczony. – Że niby czy ja... też?

Uśmiechnąłem się, prawie roześmiałem.

– Ale co to znaczy, że „też"? – zapytałem. Teraz to ja udałem zaskoczonego i prawie oburzonego podejrzeniem niesprawiedliwie na mnie rzuconym. Po czym skinąłem głową, jakbym przyznawał się, że może jednak trafnego słowa użył: – Ale o'kej, niech będzie: też.

Chociaż wolałem, żeby to on mówił dalej – także trochę jakby „za mnie". A nie żeby mnie zaczął przepytywać – „ze mnie".

– To pan pewnie wiesz – odezwał się tonem już prawie przyjacielskim – że bycie znanym pisarzem to wcale nie znaczy uprawiać literaturę... dziś. A na pewno nie przede wszystkim. Bo najpierw trzeba siebie – ludziom wcisnąć. A dopiero potem, może, jak już będą wiedzieli „że ciebie się czyta" – próbować coś więcej. Albo nawet i wtedy jeszcze nie. Bo niby po co?

– Ale dlaczego – wszedłem mu w słowo – pan mi to mówi?

– A może ja panu tego wcale nie m ó w i ę – roześmiał się, może ciut za głośno i przez to sztucznie. – Może ja panu o tym tylko o p o w i a d a m? – I nie czekając nawet na moje pytanie o to, jaka jest różnica między jednym a drugim, jakby

wiedział, że o to właśnie chcę go zapytać, od razu przeszedł do wyjaśnień: – Bo mówi się po to, żebyś wiedział, głupku! – Po czym dodał, żeby wszystko było jasne, że nie mnie miał na myśli: – To znaczy, ten „głupek" to oczywiście nie pan, tylko ten, w kogo celuje mówienie, w odróżnieniu od opowiadania. Bo opowiada się po to, żeby człowiek się zastanowił, a nie żeby od razu „wiedział na pewno": ale o co tak naprawdę w tym całym opowiadaniu może chodzić? I chyba najbardziej po to jest literatura, pisana w książkach: żeby czytelnika przede wszystkim uruchomić – a nie po to, żeby go tylko upewnić – i żeby do ostatecznych wniosków, także na temat zamiarów autora, dochodził potem już samodzielnie. Samodzielnie, czyli dosłownie: dzielnie… samemu. Bo na tym chyba polega c z y t a n i e, nie sądzi pan?

– Ale czyta się czasem też po prostu dla samej przyjemności czytania… – zaproponowałem mniej ambitne podejście do sensu obcowania z tekstem. – I może nie od razu aż tak uważnie, że właściwie już wręcz podejrzliwie…

– Tak, tak pewnie też – zgodził się. – Można i tak… używać książek. Ale to nie jest jeszcze, że tak powiem, czytanie na całego. Tak… – jakby zamyślił się na chwilę. Lub może zawahał, czy na pewno chce powiedzieć to, co mu właśnie przyszło na myśl; albo co mu się skojarzyło nagle. – I ja też znam taki, że tak powiem, p r z y p a d e k – powiedział. – Niestety. Baba czyta jakby cały czas. A w każdym razie ciągle o tym gada: co znowu przeczytała – i ile – i co teraz czyta albo będzie czytać! I że jest na bieżąco, w każdym razie: czyta co trzeba. Ale jakby ją zacząć pytać głębiej i bardziej o to, co w tych książkach przeczytała (żeby nie powiedzieć bardziej: co te książki w niej może zmieniły), to… najczęściej to tylko ma do powiedzenia, że „faktycznie… warto przeczytać". Bo – no właśnie – o tym, że „warto przeczytać", wie już zanim jeszcze zacznie czytać: albo z gazety, albo z telewizora – w każdym razie wie „z góry". Albo że „nie warto" – też wie; i wtedy nawet nie próbuje sama się o tym przekonać: bo już wie. Bezmyślnie! Proszę pana – prawie wykrzyknął – pan nawet nie wiesz, jak mi ta baba działa na nerwy! I to nie tylko przez to, jaka jest, ale także dlatego, że to, co ona robi, może być bardziej typowe, a ona – jest tylko karykaturą tej typowości: tak ludzie dzisiaj używają książek – mając się za prawdziwych czytelników.

Nie wiedziałem, co mu na to powiedzieć. Jak się jednak okazało, nic nie musiałem mówić, bo on jeszcze nie skończył. Jeszcze miał coś do powiedzenia o tym, jak to sam nazwał, przypadku.

– Tak... ma baba łeb do książek, nie ma co! – westchnął niby z uznaniem, ale po grymasie ust poznać było, że to drwina, a nie uznanie. – Ale dokładnie tak, jak o innych mówi się czasem, że mają „łeb do picia": mogą wypić dużo, nawet bardzo dużo, ale wcale tego po nich nie widać – jakby alkohol wcale na nich nie działał. Książki, które konsumuje – a według tego, co mówi, umie konsumować ich dużo – jakby po prostu na nią n i e d z i a ł a ł y. A w towarzystwie, w którym umie hałaśliwie zwracać na siebie uwagę – i przede wszystkim w swojej własnej opinii o sobie – uchodzić może za człowieka, który „umie czytać"! I jest oczywiście pewna, że takie czytanie, jakie ona praktykuje, robi z niej osobę oczywiście kulturalną, czyli – na pewno lepszą od innych! Co dodatkowo jeszcze daje po sobie poznać, zachowując się zgodnie z inteligenckim wzorem nowego typu, lub tym, co ona sama za taki wzór uznaje, czyli okazując pogardę ludziom gorszym – co w przypadku tej baby, brylującej głównie przy piwie w knajpie (za które to piwo, nawiasem mówiąc, najczęściej zresztą pozwala płacić innym, co zapewne też świadczyć ma o jej wielkoduszności wprost szlacheckiej; bo o tym, że „pochodzi ze szlachty" – też lubi od czasu do czasu wspomnieć niby mimochodem), dotyczy bądź obsługi, bądź któregoś ze współbiesiadników (nie wyłączając fundatora akurat pitego przez nią piwa), bądź też – bo i to często jej się zdarza – po prostu przechodzącego akurat obok człowieka: bo wygląda jak idiota! No, mówię panu, baba tak kulturalna – i oczytana – że aż strach!

Czyli miałem rację, a przynajmniej dobre podejrzenia: trafił chłop na podróbkę – a dostało się za to może także prawdziwym czytelnikom. Bo przecież na pewno są jeszcze tacy – gdzieś, jakoś.

– Ale to niech pan o tym może napisze – zaproponowałem. – Bo to przecież kapitalny temat.

I tu mnie znowu zaskoczył, po raz drugi aż tak – a może i bardziej. Bo powiedział to, o co go nie podejrzewałem, że powie; przypuszczałem raczej, że to przemilczy.

– Może i tak – przyznał. – Tylko jest jeden kłopot, wciąż… Bo ja – proszę mi wierzyć – już nawet o tym myślałem, ale… No właśnie, żebym mógł to naprawdę opowiedzieć, musiałbym najpierw umieć poradzić sobie z tą złością, jaka we mnie uruchamia się natychmiast, skoro tylko o tej babie pomyślę – i ciągnie mnie za sobą na manowce człowieczeństwa. Że tak powiem. A nie umiem. Po prostu od razu cholera mnie bierze całego! I jakby nie zostaje we mnie już ani trochę miejsca na humanizm i uprawianie literatury. – Wzruszył bezradnie ramionami. – A szkoda, na pewno szkoda. Bo opowiadanie o niej mogłoby być – a nawet powinno, żeby być naprawdę opowiadaniem do czytania – czymś więcej niż tylko donosem na nią: że taka jest durna i głupia – po prostu. I nie byłoby przecież tylko o niej.

Powoli dojeżdżaliśmy do celu, dowożeni do niego pociągiem, w którym spotkaliśmy się po drodze – i w drodze.

I może ani on, ani ja nigdy nie napiszemy dość dobrego opowiadania o tym, o czym warto by napisać – na pewno. Bo obaj – jako w sumie siebie warci – nawet jeśli byliśmy jakoś pisarzami, to… raczej niebyłymi. A już na pewno nieznanymi. A do tego tematu – trzeba by chyba jakiegoś naprawdę sławnego nazwiska!

– Tak – powiedziałem. I uśmiechnąłem się, choć jakby smutno jakoś. Ale jednak uśmiechnąłem się… przynajmniej częściowo. – To faktycznie… niełatwa sprawa, taki humanizm…

– No! – przytaknął mi. – A już zwłaszcza… anonimowy. – I też się uśmiechnął tak jak ja: nie do końca jakby. – I mało dochodowy, w dodatku.

LINIA 27...

Autobus linii 27 w Rzeszowie jedzie do ulicy Cienistej. Dowiedzieć się o tym może każdy – czyli ja także – kto tylko zobaczy ten autobus podjeżdżający do przystanku: nad szybą frontową informacja ta wyświetlana jest obok numeru linii: CIENISTA CMENTARZ. Dla rzeszowian, dla których codzienność w Rzeszowie jest naturalną częścią ich życia, to żadna rewelacja: bo to przecież normalna rzecz, że każdy autobus ma jakiś numer i dokądś jedzie, zgodnie z planem i po swojej trasie. Natomiast dla tych, którzy na co dzień równie normalnie dają sobie radę bez Rzeszowa, bo ani trochę nie są z tym miastem związani, to tym bardziej żadna rewelacja ani ważna informacja: bo kogo z nich to obchodzi, jaki numer autobusu jedzie w Rzeszowie akurat do ulicy Cienistej (podobnie zresztą jak do jakiejkolwiek innej – tam). Ja jednak, jako przybysz, nie należę – całkowicie i definitywnie, i przynajmniej na razie – do żadnej z tych dwóch grup; jestem tu nie stąd. I dlatego

dla mnie to jest jednak coś: jazda autobusem linii 27 w Rzeszowie. Co robię dość regularnie już od jakiegoś czasu. Choć do samej ulicy Cienistej nie dojechałem nigdy, przynajmniej jak dotąd (wysiadam wcześniej), a więc o tym, czy na końcu tej trasy na pewno jest ulica Cienista – nie mogę powiedzieć z całą pewnością. Ani cmentarz...

Moja jazda tym autobusem za każdym razem trwa trochę ponad dwadzieścia minut.

Początkowo jechałem od punktu do punktu, to znaczy od miejsca, gdzie wsiadałem, do miejsca, gdzie wysiadałem, a po drodze – przez szybę mogłem patrzeć, jak mija mnie prawie całe miasto; i chociaż widoki się zmieniały, nie miały one dla mnie właściwie żadnej „wartości orientującej": dopóki autobus nie dojechał do przystanku, o którym wiedziałem, że „tu mam wysiąść", nie wiedziałem właściwie *którędy* mnie ten autobus do tego miejsca *dowoził*.

I chociaż teraz już bardziej orientuję się po drodze, wciąż są na tej drodze fragmenty, gdy raczej nie wiem, gdzie w danej chwili jestem. To znaczy, gdybym tam wysiadł, miałbym kłopoty z wyborem kierunku, w którym miałbym iść, aby dojść „do pomnika". Bo „od pomnika" już potrafię jako tako orientować się w tutejszym terenie miejskim. W abstrakcji od jego wymowy ideologicznej, kiedyś oficjalnie zadekretowanej, jak i od nazwy nieformalnej, jest więc ten pomnik dla mnie na pewno potrzebny – jako pomocny.

Chociaż wiem, że to pewnie za mało, żebym mógł – jako wciąż pewnie za mało tutejszy – wypowiadać się *znacząco* na temat aż tak tutejszy: jaka powinna być właściwa odpowiedź na to pytanie – ma ten pomnik wciąż tu być czy nie?

A jednak... jak widać, już *jakoś* zabrałem głos w tej sprawie.

Bo może tyle, czyli *trochę* wolno mi było – jako „obywatelowi Rzeszowa na okresie próbnym", jak chyba mogę się nazwać.

***

Kiedy masz lat koło dwudziestu – a dzisiaj można mieć tyle nawet jeszcze przed trzydziestką – nowe miasto, do którego przybywasz, jest dla ciebie przede wszystkim *nową możliwością*, a coś tak zwyczajnego jak układ ulic – z pewnością nie jawi ci się jako labirynt, który *po to* tylko został stwo-

rzony, abyś w nim się codziennie gubił bez końca. A nawet gdy do nowego miejsca przybywasz mając spędzonych gdzie indziej lat życia więcej niż tylko dwadzieścia i pamięć bardziej zajętą masz innymi przyzwyczajeniami topograficznymi, wciąż możesz przynajmniej u d a w a ć, że także i to nowe miejsce nie jest wcale dla ciebie aż tak obce i że szybko, właściwie niemal pod razu mniej więcej orientujesz się tu całkiem nieźle. Zresztą, niektórzy może nawet nie muszą udawać, bo naprawdę jest tak, że szybko umieją połapać się w nowych okolicznościach miejskich. Ze mną w każdym razie tak nie było – gdy tu przybyłem.

I bardzo mnie to irytowało (nazywając to możliwie najdelikatniej). Szczególnie po jakimś czasie, gdy już zdarzało mi się miewać wrażenie – tak najpierw budujące, jak potem niestety ulotne – że nareszcie co najmniej częściowo wiem, co i gdzie... A okazywało się, że nie! I to bardzo nie. I wciąż gubiłem się i wciąż nie wiedziałem.

Miasto tymczasem wobec mojej bezsilnej wściekłości, gdy deptałem je uparcie w kierunku tylko przypuszczalnie właściwym (i niestety już zły na to, że i tym razem to przypuszczenie może okazać się zbyt pochopne) – pozostawało całkowicie obojętne; jakby w ogóle mnie tam nie było. A tutejsi, których mijałem po drodze – choć pewnie nie powinienem tak tego odczuwać – też nie lepsi: ani im w głowie było zastanawiać się nad tym, jak ja się czuję w tym pomieszaniu – widziałem to, wystarczyło na nich spojrzeć...

– Ale to tylko czasu trochę potrzeba, przyzwyczaisz się i nauczysz. – Miłe to było na pewno i potrzebne pocieszenie. Ale ja swoje wiedziałem, a jeszcze bardziej – czułem: n i e t u t e j s z o ś ć. O której tutejsi pojęcia mieć nie mogą, tak zwyczajnie obecni we własnej samo-oczywistości. Oni wiedzą – chyba nawet nie zdając sobie z tego sprawy, że to wiedza, którą posiadają naturalnie i której używają niemal bezwiednie – jak spod pomnika (wiadomo którego) dojść do Placu Ofiar Getta (też z pomnikiem pośrodku, ale nie tak sławnym); to dla nich nic.

Z drugiej jednak strony – czyli z m o j e j – gdyby tylko pomyśleć o tym inaczej i lepiej... Ale jak tu myśleć i n a c z e j i l e p i e j, gdy człowiek powłóczy nogami przez upał z coraz słabszą nadzieją na to, że może tym razem idzie wreszcie we właściwym kierunku! Niemożliwie trudno!

Co innego, jeśli jedziesz w klimatyzowanym autobusie, siedząc na przednim siedzeniu, tym obok kierowcy, skąd możesz widzieć drogę przed sobą tak, jakbyś to ty sam prowadził pojazd (tam, gdzie wsiadam, pasażerów jest mało i to miejsce nieraz bywa jeszcze nie zajęte, albo zajęte – ale na chwilę tylko) – tu można lepiej myśleć! Zwłaszcza jeśli masz przed sobą szmat drogi: masz wysiąść dopiero na przystanku ARMII KRAJOWEJ SZPITAL.

I dlatego właśnie polubiłem tę linię – 27. I myślę, że tak już zostanie; nawet jeśli nie będę już musiał korzystać z jej pomocy.

Tu mogłem wreszcie bez paniki oddać się innej i może lepszej refleksji. I tu pewnego razu poczułem – co było dla mnie w końcu miłą odmianą w mojej nietutejszości – że już nie tak dotkliwie odczuwam złość na samego siebie z powodu mojego ogólnego niezorientowania w tutejszych okolicznościach; i że już mi „chyba trochę przechodzi".

I że mam w sumie szczęście – przyszło mi nagle taka myśl do głowy. I to była dobra myśl – przecież. Nawet bardzo. A może nawet – najlepsza.

I że może dużo bardziej, niż mi się zrazu wydawało, było prawdziwe i trafne to, co usłyszałem właśnie tutaj, w mieście, którego wtedy właściwie jeszcze wcale nie znałem, a jeśli tak, to i ono mnie nie znało:

– To, co najważniejsze, już masz. Teraz – tylko to trzymaj.

„I idź dalej spokojnie, bez paniki" – wieziony autobusem linii 27 uśmiechnąłem się do własnych myśli, z widokami za szybą, które z czasem będą dla mnie pewnie coraz bardziej znajome. – „I nie ponaglaj tutejszej codzienności do czym prędszej starej znajomości z tobą; daj jej czas – i sobie. Bo pośpiech w przyzwyczajaniu się, gdy i tak wiesz, a przynajmniej masz taką nadzieję, że czasu masz chyba dość, bo przecież nie jesteś tu tylko na chwilę – jest tu raczej bez sensu".

***

W tej chwili jednak nie „idę dalej spokojnie, bez paniki" przez miasto, lecz jadę, a właściwie „jestem wieziony" – w autobusie linii 27. I to też tylko „w myślach", jeśli mam być całkiem dokładny co do prawdy i faktów; bo naprawdę siedzę teraz przy stole i piszę o tym, jak „byłem wieziony" – jakby to działo się faktycznie tu i teraz.

Oto więc siedzę znowu – bo to nie pierwsza moja podróż tą trasą – w autobusie, gdzie znowu udało mi się zająć miejsca z przodu, obok kierowcy. Bo znowu, gdy wsiadłem do autobusu, siedziała na tym miejscu ta sama dziewczynka, obok której siedziała (też ta sama) jej mama, które – tak jak mogłem już się tego spodziewać: jak zwykle! – wysiadły dwa przystanki dalej (albo trzy – w każdym razie wkrótce) i wtedy mogłem zająć zwolnione przez małą rzeszowiankę miejsce, z którego najlepiej mogę teraz patrzeć przed siebie na drogę, którą jestem wieziony; i już nawet trochę wiem, którędy jedziemy, to znaczy: co będzie zaraz. Chyba, a może nawet – na pewno.

Na początku autobus jeszcze trochę kluczy, przynajmniej jak dla mnie, który nie umiem jeszcze z całą pewnością przewidzieć, na którym rondzie skręci albo pojedzie prosto. Mijam widoki za szybą: choć już na pierwszy rzut oka pod względem kolorystycznym i co do ogólnej kompozycji obrazu ani trochę nie przypominają one tych, które ma za szybą człowiek jadący metrem nowojorskim ze stacji Bedford Avenue do Union Square, albo zresztą w jakimkolwiek innym kierunku i w jakimkolwiek innym metrze na świecie – bo wszędzie tam nie widzi nic, poza ciemnością – to orientacji w terenie dają mi one wciąż mniej więcej tyle samo, co te zza szyb nowojorskiego sabłeja: raczej „ciemność widzę" – choć kolorową i w pełnym słońcu.

Wiem już jednak, że zaraz wyjedziemy z tej plątaniny „na prostą" (jak to już mogę odczuwać w mojej własnej geografii tutejszych miejsc i moich uczuć pomiędzy nimi) – czyli na tę ulicę, którą już bez żadnych niespodzianek po drodze dojedziemy prosto pod pomnik. Choć wydaje mi się, że w tutejszym języku mówi się o tym miejscu już inaczej, bardziej nowocześnie, praktycznie i konkretnie: „do Galerii Rzeszów" – i chyba nawet częściej właśnie tak: słowa „pomnik"... się już nie zawsze używa. Chociaż ten pomnik wciąż tam stoi – i jest; ale już jednak coraz bardziej jakby na uboczu aktualnej codzienności, coraz mniej wymowny i tak czy inaczej – coraz bardziej u s t ę p u j ą c y.

I już, wyjeżdżamy na tę prostą, choć idącą trochę łukiem, a gdy droga wznosi się estakadą i już widzę w oddali po lewej metaliczną czarno-szarą elewację nowoczesnej bryły Galerii Rzeszów, upstrzoną znakami firm, z których każda ma coś

w ofercie na jeszcze fajniejsze życie, mijamy tabliczkę, na której czytam z niespodziewaną przyjemnością: WIADUKT ŚLĄSKI (wcześniej jej jakoś nie zauważyłem). I choć nie ma w tym wiadukcie nic, co by mi przypominało z wyglądu Śląsk, a jako tutejszy jest on dla mnie na pewno przede wszystkim wiaduktem rzeszowskim – z powodu nazwy uśmiecham się. Ja, który zresztą pewnie też nikomu z tych, którzy razem ze mną jadą teraz w tym autobusie „do Galerii Rzeszów", nie przypominam z wyglądu od razu „kogoś ze Śląska"; zresztą sobie samemu, gdybym miał spojrzeć na siebie obiektywnie – też nie. Bo choć jestem tu „z Gliwic", nie powiedziałbym, że przez to na pewno jestem tu, i to w sposób naprawdę aż tak widoczny, od razu „cały (i całkiem) ze Śląska" – ale o to mniejsza w tej chwili. Jedziemy dalej.

– Dzisiaj ludzie bardziej od przeżycia i jego głębi wolą pierwsze wrażenie i jego natychmiastowy skutek. – Wyrażając głośną tę opinię, chciałbym spotkać się ze zdecydowanym zaprzeczeniem, że wcale tak nie jest! Nie mając jednak pewności, że tak by się stało, milczę. Zresztą, komu tutaj miałbym to powiedzieć – i niby jak, żeby nie wyjść na wariata? Przecież gdyby do mnie ktoś tu nagle podszedł i niespodziewanie – oraz przecież bardzo n i e n a m i e j s c u – w autobusie odezwał się takim tekstem... na pewno nie byłoby to normalne; i pewnie ja też uznałbym go wtedy za wariata. Dlatego tylko sobie, na własny użytek, myślę to zdanie; moi współpasażerowie nie mogą wiedzieć, jaka jest przyczyna mojego półuśmiechu, który na chwilę gości na mojej twarzy – nawet gdyby chcieli to wiedzieć i byli tej przyczyny ciekawi. I to także wywołuje uśmiech na mojej twarzy, drugi w ciągu dwóch sekund – i wcale nie dbam o to, że mogę wyglądać co najmniej dziwnie, gdy tak raz za razem uśmiecham się... jakby bez sensu; bo jaki niby mogę mieć do tego powód – sensowny?

Może zresztą nikt z moich współpasażerów – nawet jeśli któryś z nich akurat popatrzył na mnie i zauważył moje uśmiechanie się pod nosem – nie widzi w tym nic aż tak dziwnego. Bo jadąc, czytam książkę. Lub tylko pozoruję czytanie, więcej rozglądając się wokół ukradkiem niż skupiając na tekście. W każdym razie można pomyśleć, że to w tej książce jest zapisana przyczyna moich uśmiechów.

Rozglądam się, starając się robić to jak najdyskretniej, jakbym to robił od niechcenia i bez celu, wśród moich w tej

chwili najbliższych – czyli tych, z którymi razem jestem wieziony i o których ani nie wiem nic, ani wiedzieć nie potrzebuję.

I widzę, że jestem w tym transporcie jedynym człowiekiem, który czyta książkę – papierową! Lub tylko pozoruje czytanie, trzymając przed sobą otwarty tom… Ale o tym mogę wiedzieć tylko ja; dla nich – czytam. I po raz trzeci się uśmiecham: wariat! Człowiek czyta książkę – z papieru! – i to przy ludziach. Tak, dzisiaj to coraz częściej wariactwo, przynajmniej w zgodzie z najpierwszym znaczeniem słowa „varius", czyli łacińskim – inny; dzisiaj to coraz częściej inność. To znaczy, czytać owszem i można – i czyta się, i to jeszcze jak! – ale nie w książkach. Dzisiaj czyta się w telefonach – i pisze. Więcej niż połowa moich współpasażerów właśnie to robi: są w telefonach. I są tam chyba nawet bardziej niż w tym autobusie, który ich wiezie; a może nawet bardziej niż w Rzeszowie w ogóle – czy zresztą gdziekolwiek konkretniej.

Dojeżdżamy tymczasem już do ronda pod pomnikiem (albo przy Galerii Rzeszów, jak kto woli). Nie wiem, czy ma nadane swoje własne imię to rondo, ale wydaje mi się, że jakiekolwiek by ono miało być, żadna nazwa nie jest tu bardziej trafna (i dorzeczna!) niż jedna z tych dwóch: albo „Przy Galerii", albo „Pod Pomnikiem".

Spoglądam przez ramię – na mały plac przed wejściem głównym do galerii. Nie ma go. Nie dziwi mnie to, pora już przecież raczej bardzo popołudniowa, a on – bywa tutaj raczej „w godzinach pracy". I bywa głośno; właściwie nie musiałem sprawdzać tego oczami, czy tam jest – gdyby był, usłyszałbym to nawet przez szybę i mimo ulicznego ruchu. Też wariat, można powiedzieć. Ale jaki! Nie jakiś cichy myśliciel, ale mówca! Który, wspomagając się mocą megafonu, zaiste głosi to, co ma ludziom do powiedzenia – o Jezusie i o tym, jak on sam rozumie święte słowa Księgi; i mówi uparcie, nie oglądając się na słuchaczy i jakby nic sobie nie robiąc z tego, że nikt nie przystaje przed jego posterunkiem prorockim, który sklecił sobie z wózka i sprzętu nagłaśniającego, dokładając do tego dość sfatygowany już baner z imieniem JEZUS. Ludzie mijają go, jakby go wcale tam nie było. I może wiedzą co robią, idąc niewątpliwie drogą bardziej normalnej codzienności: tego człowieka przecież

trochę strach traktować choćby tylko trochę poważnie; i lepiej nawet nie komentować tego – i przejść mimo jakby nigdy nic. I tak właśnie go mijają – przechodnie. A on gada i gada... jakby w kółko to samo, naiwnie i wprost, aż za bardzo, i nieustępliwie, ofensywnie – jak najęty!

Albo nawet – co za myśl! – jak faktycznie nawiedzony?

A jeśli podobnie – myślę nieśmiało i bardzo prywatnie – traktowany był też przez normalnych ludzi, którzy przodem puszczali umiłowanie zwykłej codzienności, nawet jeśli częściowo małodusznej, przed wizją nazbyt wygórowanej i zobowiązującej prawdy, ten zwariowany staruszek, zaczepiający poważnych obywateli na rynku starożytnych Aten, żeby mówić z nimi o sprawach jakby nie z tej ziemi – i szukający niepotrzebnie dziury w całym? Albo później – to myślę jednak już tak cicho, jakbym nawet sam nie chciał usłyszeć tego pytania – ten młody syn cieśli, który jeszcze bardziej o „królestwie nie z tego świata" mówił, a o mowach i naukach którego wiemy do dzisiaj i które do dzisiaj są traktowane poważnie – nawet przez tych, którzy w taki lub inny sposób, po namyśle albo bez zastanowienia „są przeciw" – może istotnie dzięki temu, że za sprawą Ducha Świętego tak się stało; a przed nim żyjący na pustyni odludek, który „przygotowywał mu drogę"? A każdego z nich spotkał koniec, jakiego nikt normalny by sobie na pewno nie życzył...

I pozostawiam te pytania bez odpowiedzi.

Jedziemy dalej.

Do mostu na Wisłoku (który w sposób zagadkowy nawet dla mnie samego wciąż mylnie nazywam nieraz Wisłą – chociaż przez miasto, skąd tutaj przybyłem, Wisła nigdy nie przepływała ani trochę, przynajmniej faktycznie) droga wiedzie prosto i jest to odcinek najlepiej mi znany, to znaczy wiem, kiedy – zaraz za mostem – autobus skręci w prawo i odtąd... znowu będzie mnie wiózł przez teren właściwie mi nieznany.

Wciąż trzymam w ręku przed sobą otwartą książkę, której jednak nie używam w tej chwili do czytania; i rozglądam się ukradkiem i cieszy się moja dusza (tak, właśnie tak: dobrze mi na duszy!), że przed oczami mijają mnie widoki już trochę znajome; i cieszy się we mnie to dziecko, którym może tak samo na szczęście jak i niestety wciąż bywam jeszcze... mimo lat, które mam już za sobą, a którym nie udało się jed-

nak zrobić ze mnie człowieka całkiem rozsądnego i zaradnego życiowo. I znowu uśmiecham się do siebie – trochę pobłażliwie, ale i życzliwie. Tak samo jak mógłbym uśmiechnąć się do prostego urzędnika pocztowego, gdybym tylko przejrzał jego sekret: że tylko udaje, przed innymi i trochę także przed samym sobą, że jest tylko tym, na kogo wygląda – choć naprawdę czuje się poetą.

Wreszcie zamykam książkę i chowam do torby: jadę dalej bezczynnie. Właśnie autobus skręcił w prawo, zapowiedziawszy chwilę wcześniej, że kolejny przystanek to REJTANA LWOWSKA. I jakby znowu bardziej nietutejszy niż jeszcze przed chwilą, jadę przez okolice nieznane, a jako nieznane – obce. A porównanie, jakie przychodzi mi do głowy, też chyba jest raczej nietutejsze; tam, skąd przyjechałem tutaj, byłoby chyba bardziej wymowne. Otóż czuję się chyba trochę tak, jak mógł się czuć ten Niemiec, w czasach gdy były jeszcze Niemcy jedne i drugie, jadący z RFN do Berlina Zachodniego – autostradą eksterytorialną przez NRD: aby do celu! Po drodze i owszem, mógł sobie patrzeć na to, co przy drodze, ale tylko patrzeć: gdyby wysiadł i wszedł dalej w ten kraj – byłby z g u b i o n y. Choć tam ludzie przecież też, tak jak i on, mówili po niemiecku; i tam też rosła niemiecka trawa…

Ale – sam dopowiadam sobie dalsze możliwe konsekwencje własnej metafory – na dłuższą metę ten „swój Niemiec" nie wykluczał przecież i takiej możliwości, że kiedyś (choć może nie od razu jutro czy pojutrze) także i ta ziemia… może stać się częścią jego ojczyzny: gdy Niemcy wreszcie znowu staną się jednym krajem – także dla niego. A wtedy to, co wcześniej nieznane i obce, stanie się znane i nawet jeśli wciąż trochę dziwne, to jednak też zwykłe i z każdym dniem coraz zwyklejsze…

Stajemy wreszcie na ostatnich światłach: czerwone. Autobus już zapowiedział mi, że następny przystanek to ten, do którego zmierzałem. Zielone. Autobus skręca w lewo i już widzę znak przystanku przed sobą, wstaję z miejsca, naciskam przycisk: tu chcę wysiąść. Nie żądam, tylko chcę. Chociaż autobus powiedział wyraźnie, że ten przystanek jest „na żądanie".

I u nas, czyli tam, skąd tu jestem, też tak się mówiło: „na żądanie".

Tutaj jednak usłyszałem inną wersję rozumienia tego skrótu: NŻ, widniejącego na tego typu przystankach, gdzie autobus nie zatrzymuje się „sam z siebie": NA ŻYCZENIE.

Więc tu życzę sobie wysiąść – i wysiadam.

I tu życzę sobie możliwie wszystkiego dobrego – w tym mieście, gdzie żyję coraz bardziej codziennie i z każdym dniem przyzwyczajam się do tego coraz bardziej, a równocześnie – pewnie przez to dziecko, które wciąż siedzi we mnie, a którego ani nie umiem, ani nie chcę stamtąd wyprosić – widzę, że za tym coraz nowszym światem, przez który idę, chyba wciąż nie nadążam... A mimo to i tak przecież jakoś należę do niego – choćby jako zagadka, i to nawet nie tyle dla innych, ile najpierw dla mnie samego; a może raczej jako pacjent – czasem może trochę zbyt niecierpliwy, ale jednak... jakby coraz zdrowszy każdego dnia.

Amen.

A tytuł książki, którą częściowo czytałem po drodze – chyba nie ma tu nic do rzeczy.

PO OKAZANIU.

Nie dawał po sobie poznać, a przynajmniej starał się, jak umiał, że się jednak obawia, prawie boi. I udawał, że to przecież żaden kłopot. Ale udając, robił – dosłownie – dobrą minę do złej gry; bo aktor był z niego raczej kiepski – i udawacz; i sam też wiedział, że to przecież po oczach widać! Tak, miał pietra – jak młody! A może nawet bardziej: bo już przecież od lat nie był młody, a w każdym razie chyba nie powinien już taki być, po tylu latach życia, a to, co miał już za sobą czy też raczej „w sobie", jako tak zwane doświadczenie życiowe, raczej nie dodawało mu pewności siebie; bo prawdę powiedziawszy, był raczej życiowym nieudacznikiem – choć, co też typowe dla takich przypadków, starał się tego nie dać po sobie poznać. I to też wiedział – o sobie.

Równocześnie jednak wiedział też – bo przecież gdyby tego nie wiedział, może starałby się jeszcze jakoś odwlec to spotkanie (którego całkiem uniknąć już ani nie wolno mu

było chcieć, ani nie chciał przecież) – że nic mu tak naprawdę nie grozi; i że to wcale nie tylko on będzie najważniejszy podczas tego „okazania" – bo nie będzie tam sam! I że w sumie jest szczęściarzem. Choć trafiło mu się może faktycznie jak ślepej kurze ziarno…

– No… nie ma co – przyznał wprost – miałem stracha. Raczej. Ale jeszcze bardziej – mówiąc już całkiem szczerze – chyba bałem się… to pokazać; żeby nie nawalić jeszcze bardziej! – Przerwał, jakby jeszcze się wahał, czy powiedzieć więcej; choć wiedział, że i tak powie. I powiedział: – Bo co to właściwie miało być? Ani normalne przedstawienie chłopaka rodzinie, bo na to byliśmy już za starzy, ani też jakiś niby odważny i odwagi wymagający „coming out" – bo przecież żadni z nas celebryci albo kandydaci na celebrytów, którym takie coś akurat potrzebne jest do istnienia w mediach, albo po to, żeby w tych mediach dopiero zaistnieć. To miało było coś… dziwnego; i takie też było – trochę.

Tak czy owak, chyba udało się – jakoś. Nie było najgorzej, w każdym razie.

– Było mi bardzo miło, powiedziałem na koniec, gdyśmy już stamtąd wyjeżdżali – powiedział. – A potem, natchniony chyba przez samego ducha świętego, dodałem jeszcze: „I chciałbym, żebyście chcieli mnie tu jeszcze kiedyś znowu zaprosić". A oni mi na to, jakby wiedzieli, że innej odpowiedzi w takiej sytuacji mieć po prostu nie wypada: „No, tak…" – powiedzieli. Chociaż… – Jakby znowu zawahał się. A ja poczułem, że teraz powie to, co najważniejsze i najdziwniejsze zarazem, przynajmniej dla niego, było w tym okazaniu – jeśli powie. I powiedział: – Chociaż po tym spotkaniu wiedzieli o mnie niewiele więcej niż przedtem, poza tym, że mogli zobaczyli wreszcie „jak wyglądam" – na oko. Bo też jakby nie chcieli pytać o nic b a r d z i e j. Czy to przez delikatność, ostrożność, a może zwyczajną obojętność – mniejsza o to; tak czy owak, nikogo to jakby jakoś specjalnie nie interesowało, skąd się tu wziąłem i jaki – między nimi; chociaż to przecież o ich córkę chodziło! – Tutaj znowu przystanął na chwilę w mówieniu. I uśmiechnął się półgębkiem. – No tak! – zauważył rozumnie. – Ale bo też ta córka to już przecież od lat duża dziewczynka jest i w wieku, można powiedzieć, nie tylko całkiem dorosłym, ale i po przejściach w dodatku; więc niech ma, co chce – jeśli tak chce.

– Ale gdyby się okazało, że mi nagle Nobla w dziedzinie literatury dali, albo że wziąłem udział w napadzie na bank, po którym mnie ujęto, i nagle i na krótko zrobiłoby się w mediach o mnie głośno – dodał jakby w ramach nie napisanego jeszcze postscriptum i z trochę smutnym uśmiechem na twarzy – wtedy tak, powiedzieliby: „To on. My go znamy!". Chociaż pewnie głośniej mówiliby to w tym pierwszym przypadku, gdybym tyle forsy nagle dostał i to razem ze sławą na pół świata („Znamy go, on jest nasz"), niż przy drugiej okazji, gdy... jednak by mi się nie udało („No ale go złapali"). Tak... – Jakby sam zamyślił się nagle nad własną opinią, czy nie jest ona aby zbyt pochopna lub, bo ja wiem... nadmierna może? Po czym, nie wiem, czy całkiem szczerze, czy tylko „tak na wszelki wypadek", załączył do niej sam jakby zastrzeżenie: – I nie sądzę nawet, że to wrażenie, które zresztą odczułem bardziej dopiero potem, to jest dla nich wyrok krzywdzący czy niesprawiedliwy. Bo to nie jest żaden wyrok! Bo do tego, żeby ich naprawdę sądzić... musiałbym wiedzieć o nich więcej; a nie wiem. No i jeszcze krzywda jakaś musiałaby się najpierw stać, rzeczywista lub choćby domniemana; a nie stała się przecież – a już na pewno nie mnie! Przecież oni tam wszyscy, chociaż jedni w taki sposób a drudzy trochę inaczej... starali się być dla mnie na pewno mili i grzeczni – i to raczej „w ciemno" przecież, bo co oni niby o mnie wiedzieli wcześniej! – a za to karać ich w jakikolwiek sposób... no, przecież ja nie mogę!

A że byli oni, i to nawet nie tyle każdy z osobna, ile raczej wszyscy „w sumie", może jakby w trochę innym sposobie życia niż ja, a może i więcej nawet niż tylko „trochę"... to już inna rzecz.

***

W każdym wydarzeniu, o ile staje się ono także naszym przeżyciem (lub doświadczeniem, jak kto woli), można ujrzeć lub co najmniej poczuć niewyraźnie coś więcej niż tylko fakt – jakiś sens; na tym chyba – jeśli nie tylko, to na pewno też – polega to, co nazywa się „rozumieniem naszego świata"; lub co najmniej chęć tego „zrozumienia". A potem – już tylko ten trudny drobiazg pozostaje: opowiedzieć to... dość dobrze – drugim, żeby w ten sposób może znaleźć wśród nich sobie pokrewne dusze. I żeby spełnić się jako „zwierzę społeczne

obdarzone mową" – jak określił kiedyś człowieka jeden grecki Filozof; ale kiedy to było! – daaawno temu; a może nawet daaawno... stąd.

Bo nie brak dzisiaj takich, którzy jakby nie czują tej potrzeby wcale – żeby opowiadać... siebie. A jeszcze więcej jest takich, którzy nie czują potrzeby, by „czytać" – a to znaczy: próbować zrozumieć ten fakt, jaki przydarza się im w formie tekstu kogoś innego – opowiadania innych. Czyli że całkiem sporo jest, najkrócej mówiąc, ludzi „raczej mało ciekawych"... biernie lub czynnie.

I okazuje się, że tak... też da się żyć: bardziej faktycznie, a nie – teoretycznie.

I bez przesady z tą potrzebą „sensu" dla faktów – i chceniem we wszystkim zawsze jakiegoś.

Bo gdy żyje się po prostu, dzień za dniem – a każdy dzień jak co dzień – to... też może być.

***

Wiedział zatem, że nie ma czego się bać – bo na pewno jakoś to będzie – i że łba mu na pewno nie urwą przecież. I że nie został tutaj przywieziony – żeby nie powiedzieć jeszcze gorzej: doprowadzony – po to, żeby egzamin jakiś zdawać, który zda albo i nie; a jak nie zda, to go wyrzucą bez prawa do poprawki. Z drugiej jednak strony, nie po to tu chciał być, żeby okazać się już na wejściu... k o n t r o w e r s y j n y m („Jak mnie to słowo wnerwia! – a właściwie nie ono samo, ale to, że używane jest ono na ogół jakby całkiem bez rozumienia jego prawdziwego znaczenia"); na to był już zdecydowanie za stary i na tym mu na pewno nie zależało. Na czym innym natomiast... mu zależało – i to bardzo: żeby tylko nie zrobić złego pierwszego wrażenia, ani całkiem, ani nawet takiego tylko raczej...

Na szczęście do tego spotkania doszło dość nagle i jakby znienacka, tak że nie miał czasu, żeby zbyt długo i głupio głowę sobie nad tym łamać. Ochoty zresztą też nie miał – na to. I w sumie to nawet cieszył się, że już niedługo będzie to wreszcie miał za sobą: początek. Chociaż planu, jak to zrobić, żaby było dobrze – nie miał żadnego. Albo prawie żadnego.

Bo przepis-minimum na niezły początek dało się przecież w kilku słowach podać: „Byle tylko o politykę się nie pokłócić – choćby przypadkiem tylko i niechcący, ale jednak... – i przez to p o r ó ż n i ć się z nimi jeszcze bardziej".

No i do tego jeszcze była sprawa jego niepicia: żeby to też jakoś dobrze załatwić.

– No i dobrze! – powiedział jej, gdy mu opowiedziała o tej swojej trochę niepewności jakby: „czy to nie będzie dla ciebie kłopot może jakiś, bo wiesz, jak to na grillu… a ja im nic o tym nie mówiłam". – Normalnie im to powiem. A to, że oni będą to naprawdę, dla mnie, żaden kłopot. Już to znam. I nawet – dodał po chwili – już jakoś lubię, jako… własne doświadczenie.

– Zresztą… – próbowała w dość dziwny sposób dodać mu otuchy, przyznając się, że i ona też będzie trochę nie sobą – ja też będę się starać… Jak zresztą robię to za każdym razem, gdy tam bywam. Staram się… jak mała dziewczynka, która bardzo chce, żeby „wszyscy ją lubili".

A gdy wreszcie dotarli na miejsce, od razu zrobiła to, co było chyba najlepsze, żeby początek mieć już za sobą. Oddała go w ich ręce – samego.

Zajechali prosto na działkę, na której grill już się zaczął, chociaż gości jeszcze nie było. Na razie byli tylko gospodarze. Znad stołu pod wiatą podniósł się ojciec, żeby się z nimi przywitać. Podali sobie ręce. „To jest właśnie…" – przedstawiła go ojcu córka. I wtedy odezwał się szwagier, który akurat „wyjeżdżał na chwilę z małą, żeby usnęła po drodze", z wózkiem, w którym siedziała jego wnuczka („Bo matka chce trochę odpocząć, to nam ją dała na przechowanie"). I odezwał się prosto do niego: – To co, przejdziemy się, nie?

– No… – powiedział, jakby nie wiedząc co właściwie powinien na to powiedzieć.

– No! – roześmiała się ona. – Przejdźcie się, przejdźcie. Tak, tak. Przejdźcie.

Zdążył jeszcze tylko podać rękę na przywitanie siostrze, ostatniej z trójki gospodarzy, i już: poszli się przejść. Ze szwagrem, którego przed chwilą zobaczył pierwszy raz na oczy.

I tak to się zaczęło.

Małej nie udało się uśpić, ale że zaczęło trochę kropić z nieba – to przyszli dość szybko z powrotem.

– I jak było? – usłyszał nowy pytanie dość ogólne.

A na takie pytanie wiedział, co odpowiedzieć.

– W porządku – powiedział.

Po czym przywitał się z gośćmi, którzy tymczasem przybyli na umówione spotkanie: ciocie, jakiś kuzyn z żoną, inna

kuzynka z dzieckiem (mąż został w domu) – rodzina. I znalazło się miejsce także dla niego przy dość długiej ławie stołowej, już zastawionej i ciastem, i kiełbasą prosto z grilla – i kieliszkami.

– Piwko na początek? – zapytał bardzo twierdząco szwagier. I tak głośno, żeby wszyscy usłyszeli, w jakiej jest już dobrej komitywie z nowo przybyłym.

– A nie, dziękuję, nie – odpowiedział nowy w tym towarzystwie. Więc to był ten moment, kiedy powinien „jakoś im to powiedzieć". I powiedział tak: – Mnie religia zabrania pić.

Popatrzył po zebranych, jak na to zareagują. I zauważył, że wszyscy zgodnie udają, że ich to ani nie zaskoczyło, ani nie zaciekawiło; i jakby nikt z nich nie poczuł ani trochę i ani przez chwilę nawet najmniejszej niepewności, a tym bardziej obawy jakiejkolwiek: „To jakiego on... jest wyznania? A może tylko tak mówi, dla jaj, jakby był jakimś terrorystą muzułmańskim – bo oni nie piją, wiadomo – a naprawdę... to tylko jakiś pijak niepraktykujący jest – i nic więcej?".

– Nie? – zapytał szwagier dla pewności, jednak ciut niepewnie. – Może za chwilę...?

– Nie. I za chwilę też nie.

– Acha. – Szwagier udał zupełnie nie zdziwionego – Jak nie, to nie.

– Jak nie pije, to nie pije – wtrącił kuzyn, sięgając po butelkę i rozglądając się po stole, komu dolać, bo znowu ma pusto. – Ale my pijemy. To pijemy.

I w ten sposób została zażegnana zawczasu ewentualna kontrowersja. Jak nie pije, to nie pije.

A równocześnie... nie opowiedziana jakaś historia. Bo też akurat tego, jak się okazało, nikt tutaj nie był widocznie aż tak ciekawy: ale jak do tego doszło, że nie pije? Co go do tego picia... doprowadziło? Zresztą, prawdę mówiąc, gdyby go nawet o tę historię zapytano i ciotki, kuzyni, siostra i szwagier gotowi byliby jej posłuchać – jemu chyba i tak nie za bardzo chciałoby się o tym opowiadać. A już na pewno nie aż do samej puenty: „Nie piję, bo gdybym pił – byłbym wtedy jeszcze smutniejszy". I dlatego chyba – jakby w podzięce za tak wielkoduszny brak dociekliwości i zainteresowania w ogóle – uśmiechnął się p l e n a r n i e: do wszystkich naraz, nikogo w żaden sposób nie wyróżniając.

W ten sposób ogólna formuła spotkania została ostatecznie wypracowana i ustalona, i dalej już mogło wszystko iść bez zaskoczeń i niespodzianek; i żeby żadna kontrowersja nie mogła tu już nic namieszać. I było fajnie, i śmiechem serdecznym zakąszano wódkę – tak samo jak ciastem lub kiełbasą.

A kiedy nawet „zeszło na politykę" – no bo w końcu i to stać się musiało – mowa była o sprawach lokalnych, tak że nawet nazwiska, które wtedy padały – na tak, albo na nie – nowemu nic one nie mówiły i dzięki temu sam nie musiał się opowiadać ani na tak, ani na nie. Nie musiał, innymi słowy, deklarować się politycznie i mówić, jakie ma poglądy!

Co zresztą zostało mu bardzo wyraźnie powiedziane, choć jakby mimochodem, gdy jako niemy świadek przysłuchiwał się najpierw niby dyskusji, która szybko jednak zamieniła się w coraz bardziej chaotyczne przekrzykiwanie się „kto głośniej, ten bardziej", gdzie poszczególne zdania mimo że coraz krótsze i tak coraz szybciej były przerywane przez inne, równie krótkie i też przerywane – przez jeszcze inne.

– Ja nie wiem, jakie ty masz poglądy… – powiedział nagle szwagier, ku zdziwieniu wszystkich uczestników tej „wymiany zdań" zwracając się do nowego, żeby, jak się miało już za chwilę okazać, okazać mu wprost bezwarunkową życzliwość. – Ale to nie jest też aż tak ważne dla mnie… – I już nawet nie dokończył, i nie chciał kończyć, i nie musiał. Bo co miał najważniejszego – i najlepszego ze swej strony – do powiedzenia, to właśnie przecież powiedział: to w sumie nieważne, jakie kto ma poglądy, niech se każdy ma, jakie chce, byle tylko był człowiekiem.

– Nie lubię kłamców… – Nowy poczuł, że aby nie być niegrzecznym, powinien coś jednak odpowiedzieć na to, co usłyszał. Bo było to jednak mimo wszystko… jakby pytanie. – Takie są moje poglądy – powiedział więc – najogólniej rzecz biorąc. – I powtórzył: – Że nie lubię kłamców.

I wtedy nagle… jakby coś zaskrzypiało niełądnie w tym dotychczas dość przewidywalnie dziejącym się chaosie. A może zresztą tak się tylko nowemu zdało: że popatrzono na niego tak, jakby wszystkich trochę jednak zaskoczyło to, co powiedział – i jakby nie spodobało się… jakoś.

– I też dobrze! – Szwagier jakby pierwszy doszedł do siebie. I uśmiechając się szeroko, podniósł kieliszek, dając innym

przykład: – I niech se każdy ma poglądy, jakie chce. Byle tylko był człowiekiem.

***

– „No i widzisz", powiedziała mi, gdy już było po wszystkim, „polubili cię. I okazało się, że nie było wcale aż tak źle, a nawet więcej – fajnie było, prawda?" A ja jej na to odpowiedziałem, mówiąc prawdę: „Tak, było fajnie, nawet bardzo". Bo właśnie tak było: fajnie. – A powiedział to tak, jakby wzdychał bezsilnie nad tym, co się stało.

I teraz to z kolei mnie jakby zdziwił.

– To źle – spytałem – że było fajnie?

– Nie – uśmiechnął się – nie źle. Tylko jakoś tak... nie wiem jak.

Po czym, jakby jeszcze raz wracając pamięcią do tamtego spotkania, zamyślił się...

– Bo tak sobie teraz myślę – odezwał się po chwili – że dla mnie może też nie to jest wcale aż tak ważne, jakie kto ma poglądy, a przynajmniej nie to jest najciekawsze. Bo ważniejsze od tego jest może to, jak do tego doszło, że ktoś takie ma poglądy, jakie ma. I może dopiero to jest naprawdę ciekawe – gdy spotykasz się z ludźmi – i warte opowieści: skąd i jak bierzemy sobie poglądy, które do nas najbardziej pasują. Ale niestety, tam nikt o sobie nie o p o w i a d a ł, tam każdy o sobie tylko m ó w i ł: że oczywiście należycie ocenia ludzi i zdarzenia. I jakby tak było od zawsze. I jakby każdy z nich był taki już od zawsze: gotowy, niewątpliwie i ostatecznie, i nie-fabularny... absolutnie! A to – nie wiem, czy się ze mną zgodzisz – trochę jednak nudne jakby, nie? I nawet jeśli fajne – dodał na koniec – to nudne też... jakby trochę. I w sumie nie do końca prawdziwe też... jakby.

– Wiesz co? – odparłem mu na to. – Wydaje mi się, że jak na początek, to... chciałeś może zbyt wiele – od nich. I chciałeś też może, żeby oni od ciebie chcieli też zbyt wiele. No bo czego ty chciałeś! Chciałeś od razu poznać ich całych – od najdawniejszego początku aż do dziś?

– No... – powiedział mi na to. A właściwie jakby westchnął jedynie.

Tylko tyle: „No..." – czyli nic. Bo, jak się okazało, widocznie nie wiedział, co mi na to właściwie powinien odpowiedzieć.

– Cierpliwości, człowieku! – powiedziałem to, co myślałem, że może dobrze, żeby usłyszał. Bez względu na to, jak to zrozumie. – I odwagi! Jeszcze okaże się, co się okaże. Jeśli się okaże. Nie wszystko czyta się od razu – całe.

– No – podchwycił, jakby rzeczywiście jakoś podniesiony na duchu. I uśmiechnął się znowu plenarnie: do siebie, do mnie, nikogo z nas specjalnie w żaden sposób nie wyróżniając. – I nie wszystko pisze się od razu – całe.

TU BYŁA CERKIEW...

Zanim doszliśmy do znaku „UWAGA NIEDŹWIEDZIE", który – z powodu swojej całkowitej dla mnie nie-codzienności – wywołał we mnie dziwny skurcz wewnętrznego ni to śmiechu ni to strachu, wstąpiliśmy jeszcze do restauracji w budynku, przed którym zaparkowaliśmy samochody, w jednym z których i ja zostałem na tę wycieczkę przywieziony – żeby „może trochę coś jeszcze zjeść" w tym „ostatku cywilizacji", jak to wyraził kolega. Wybór był niewielki, ale dzięki temu jakby optymalny dla tych, do których i ja lubię należeć, którzy z jednej strony nie chcą „być całkiem bez wyboru", a z drugiej – żeby też ten wybór nie był „niepotrzebnie za duży". Więc gulasz czy ogórkowa?

– No, chyba gulasz – odpowiedziałem – jeśli jesteśmy przed. Bo ogórkowa to... raczej po.

I spojrzałem na kolegę sprzed lat: czy zrozumiał? I umiałem dojrzeć w jego uśmiechu odpowiedź, którą chciałem

zobaczyć: chyba zrozumiał. Nie, nie chyba, na pewno zrozumiał – z pamięci! Bo jakże mógł nie zrozumieć – i zapomnieć! Zdarzało się nam nieraz mieć wspólnie prawdziwego, uczciwie zapracowanego i nie udawanego kaca – na studiach. Takiego właśnie, na którego ogórkowa byłaby akurat w sam raz. I nawet jeśli to całe nasze „zrozumienie między nami" uczyniliśmy teraz raczej bezwiednie, a może nawet dopiero post factum wymyślone sam je sobie później opowiedziałem, i tak było miło, gdy siedliśmy na tarasie, dołączając do reszty naszej wycieczki, i jedli każdy swój gulasz raczej bezmyślnie, gapiąc się na przyrodę, której tu było pełno wokół: zielono i płasko, przynajmniej na razie – choć to przecież Bieszczady, czyli wcale nie aż tak płasko z nazwy.

– Ale będzie po płaskim? – zapytałem raz jeszcze; bo już w samochodzie, gdyśmy tutaj jechali, o to pytałem. – Tak jak mówiliście.

– Raczej... – usłyszałem w odpowiedzi.

I słowa dotrzymali: raczej. Faktycznie, właściwie tylko na początku naszego spaceru było trochę pod górkę, ale – o czym przekonać się miałem następnego dnia, gdyśmy wspinali się na połoninę – jak na Bieszczady... to i tak „prawie po płaskim".

Zeszliśmy z płyty parkingu, na którym stało dość sporo pustych aut, już bez kierowców i pasażerów, którzy podobnie jak my przyjechali tutaj, niektórzy jadąc z daleka (o czym przekonać się można było czytając rejestracje), żeby zażyć odpoczynku od codziennego świata i pieszo pójść wśród tutejszej przyrody, o tej porze roku już bardzo zielonej, a tego dnia akurat – także pod niebieskim i prawie bezchmurnym niebem.

I ja również przyjechałem tutaj z daleka. I robiłem w towarzystwie za przybysza niemal z innego świata – jak zwykle zresztą. Bo tak się już jakoś przyjęło, właściwie nie wiadomo od jak dawna, że to akurat ja – chociaż na te spotkania w ramach tradycji post-studenckiej wszyscy przyjeżdżaliśmy każde z nas z trochę innego świata – jakbym przyjeżdżał za każdym razem z bardziej daleka niż inni. A i ja sam, trzeba przyznać, miałem w tym swój udział: bo chyba nikt tak jak ja nie lubił podczas tych naszych zjazdów właściwie nawet nie mówić o tym, ile zaznaczać ten fakt niemal co krok, postawą swoją bardziej niż słowną deklaracją: że jego

świat jest bardziej „odległy", a może nawet – niemal całkiem „zagraniczny".

Bo może faktycznie trochę tak było...

– U nas... – zacząłem mówić niby w przestrachu i urwałem w pół słowa; po czym, jakby opanowując nieco emocje, zacząłem jeszcze raz, tym razem mówiąc rzecz całą do końca: – U nas takich rzeczy nie ma!

Uszedłszy ścieżką między trawami kilkadziesiąt metrów, czyli niby mając jeszcze w zasięgu wzroku, ale już za naszymi plecami, czyli nie przed oczami, „ostatek cywilizacji", skąd tutaj przyszliśmy, przed pierwszym lekkim wzniesieniem terenu stanęliśmy przed znakiem drogowym (chociaż tutaj drogi już właśnie nie było, tylko ścieżka) „UWAGA NIEDŹWIEDZIE".

– U nas niedźwiedzie nie chodzą sobie ot tak, po ulicach. Owszem, są znaki „UWAGA PIESI", ale nie... niedźwiedzie. – Czyli robiłem znowu to, co jak mi się wydawało, reszta towarzystwa lubiła we mnie. Robiłem z siebie trochę głupka. A żeby tym bardziej mi się to udało, dodałem jeszcze, odwołując się do nie całkiem osobistej pamięci: – Albo ACHTUNG MINEN!, to tak. Zdarzały się. Chociaż teraz... już nie bywają.

– MIN NIET! – podchwycił ten, z którym wcześniej porozumiałem się w pół słowa na temat zupy ogórkowej. Reszta odpowiedziała na to tylko pół-uśmiechami.

Powoli, nie spiesząc się, bo nie było po co, szliśmy krok za krokiem.

– Ale czy nie pięknie tutaj? – zapytała ta, która na studiach była bez wątpienia jedną z najładniejszych dziewczyn na roku, a zdaniem niejednego pewnie najładniejszą, dzisiaj nadal piękna, choć już kobieta dawno po studiach. Przystanęła odwracając się do nas, którzy szliśmy za nią. – Pięknie, prawda?

– No... – Można powiedzieć, że odpowiedziałem na jej pytanie. – Naprawdę...

Po czym ruszyliśmy dalej – do przyrody! I coraz dalej od świata codziennego.

Jakbyśmy byli po prostu na wycieczce szkolnej. Albo jako studenci włóczyli się latem po odludziu, tak po prostu – i po nic. Tylko że do szkoły razem nigdy nie chodziliśmy, a na studiach, gdzieśmy się spotkali, nigdy nam taki pomysł do głowy nie przyszedł: żebyśmy „gdzieś razem sobie pojechali".

Dopiero później, już jako post-studenci i coraz bardziej zwykli ludzie w coraz bardziej zwykłym życiu coraz bardziej codziennym… pomysł takiej odmiany okazał się naprawdę fajny: żebyśmy raz na jakiś czas gdzieś sobie razem wyjechali…

I tak zaczęło się, choć może nawet sami nie do końca wiedzieliśmy, że właśnie to zaczynamy robić, praktykowanie przez nas i na nasz własny i prywatny użytek jakby post-historii: spotykaliśmy się raz na jakiś czas tak, jakbyśmy wciąż byli na studiach. I tak, jakby od tamtego czasu właściwie nic ważniejszego się nie wydarzyło – za bardzo.

Czyli trochę udawaliśmy. Ale nie za bardzo przecież. Chyba. Albo może.

Ale bo też nie po to się spotykaliśmy, żeby sobie o trudnych sprawach opowiadać! Ale po to najpierw – i najbardziej – żeby było po prostu fajnie.

No, i tak też było… raczej.

***

Trawy obok ścieżki, którą szliśmy, były coraz wyższe, a ścieżka miejscami prawie już jakby nie była sobą, ustępując im miejsca – tak że musieliśmy, nie chcąc ich deptać, iść gęsiego – po czym znowu, jakby ośmielona tym, ilu pieszym ludziom tu służy, znowu poszerzała się w kamienisty prawie dukt; wtedy znowu mogliśmy iść parami. Ale także i wtedy, idąc ramię przy ramieniu, raczej tylko szliśmy przed siebie, nie mówiąc nic. Bez sensu, można by rzec. Albo tylko – no, właśnie: n i e - f a b u l a r n i e. Nic się nie działo.

I kto wie, może właśnie po to byliśmy tu najbardziej.

Tak sobie myślałem, nie wciągając w moje myślenie nikogo; i nie chcąc nikogo w to wciągać. Bo i po co – o tym rozmawiać; albo jak w ogóle? Szedłem i myślałem – sobie. I tylko uśmiechałem się przy tym – jakby bezmyślnie całkiem. A uśmiechałem się także do tego, jak zrozumieć mogliby ten mój uśmiech – gdyby oczywiście tylko zechcieli się nad tym zastanowić – idący ze mną towarzysze naszego wspólnego wyjazdu tu i wycieczki.

I że „grób hrabiny", jako cel naszego spaceru, o którym powiedzieli mi ci, którzy byli tu nie po raz pierwszy, stanowił w programie naszej wycieczki jedynie konieczne minimum jako ofiara złożona na ołtarzu jednak jakiejś rozumności naszych działań – jakby uznali oni, że jednak nie można cho-

dzić wśród przyrody tak całkiem „bez celu". I tak oto „grób hrabiny", jako hasło, stał się jakby sensem tego, co w istocie żadnego aż tak konkretnego sensu może wcale mieć nie musiało. I nie trzeba było już opowiadać więcej: jaka hrabina, kim ona była – i tak dalej.

Ścieżka prowadziła nas jakby pograniczem między bardziej lasem po lewej, którego nie tylko drzewa, ale także krzaki jakby stawały na palcach, próbując wspiąć się jak najwyżej ku niebu, choć udawały, że niby wcale im na tym nie zależy, a bardziej łąką po prawej, która jakby wybrała formę istnienia bardziej rozległą i mniej ambitną, rozciągając się leniwie po lekkiej pochyłości terenu. Było pięknie i w sam raz – ani za chłodno, ani za gorąco.

Przyroda ma swój rozum. Dzięki któremu inaczej niż my – którzy mamy rozumy już inne – zamiast uparcie iść wciąż ku przyszłości, nazywając ten marsz postępem i w imię tego postępu albo zapominając o przeszłości albo co rusz pamiętając ją inaczej, pozostaje w bezustannym kołowrocie istnienia, gdzie to, co było, jest równocześnie tym, co będzie – i na odwrót. I w ten sposób żyje naprawdę bez historii. I może przez to też potrafi być tak zachwycająca – dla nas; którzy w ten sposób już od dawna żyć nie możemy: bośmy p o s z l i d a l e j.

Gdyby nie tablica informacyjna ustawiona na skraju lasu (i ławy, na których można było tu usiąść i odpocząć), być może nie zatrzymalibyśmy się w tym miejscu, gdzie kiedyś... była cała wieś. Ja w każdym razie, gdybym szedł tędy sam, pewnie bym tego nie zrobił i szedł dalej; bo na pierwszy rzut oka nic tutaj – oprócz tablicy (i ław do odpoczynku) – nie wskazywało na to, że akurat tutaj warto się zatrzymać. I nie było widać ani trochę, że tu kiedyś była wieś, w której żyli ludzie, a dzisiaj... są już tylko resztki cmentarza. Dopiero po wejściu między drzewa, faktycznie, już po kilku krokach zobaczyłem... resztki: jakiś kawałek muru ledwo wyrastający z ziemi i kilka nagrobków, już na pierwszy rzut oka obecnie bardzo niczyich. Bo tu już ani trochę nie było ludzi, tu znowu wszedł las. Po tym, jak „przetoczyła się tędy historia" (jak to się mówi, tyleż podniośle co oględnie), przyroda odebrała to, co dużo wcześniej do niej należało, zanim zabrali jej to ludzie, żeby urządzić sobie tutaj życie po swojemu – w swojej wsi.

I znowu nic się tutaj nie działo.

Ale kiedyś – się wydarzyło! I to aż za bardzo – i za dużo.

***

Nie jestem i nigdy nie byłem Polakiem z pogranicza polsko-ukraińskiego. Dla mnie los inne przeznaczył pogranicze – polsko-niemieckie; co zresztą nieraz stawało się tematem rozmów między nami, gdzie z jednej strony stałem czy byłem może raczej ustawiany ja z moją „trochę niemieckością" (albo przeciwnie, „nadmierną anty-niemieckością" – bo bywało i tak, i tak), a z drugiej stawali dzielnie ci z Polski jakby „trochę inaczej polskiej", których spotkałem na studiach, na które z Gliwic pojechałem aż do Lublina – a wśród nich byli i ci, z którym teraz po latach szedłem, jako z bardziej tutejszymi od pokoleń, bieszczadzką ścieżką do „grobu hrabiny".

I gdyśmy tak przysiedli na chwilę, żeby trochę odetchnąć przed dalszą drogą, w miejscu do tego przeznaczonym i specjalnie tu ustawionym, nieopodal resztek po dawnym cmentarzu (bo tylko tyle tu pozostało po dawnej wsi), nie umiałem nie wspomnieć Akcji Wisła i tego, co najczęściej na ten temat od moich znajomych i bardziej tutejszych słyszałem: „bo wtedy i jedni, i drudzy sobie nawzajem palili wsie".

– A ta wieś tutaj – spytałem – to była polska czy ukraińska?

Bo jeśli była polska, to znaczy, że Ukraińcy ją spalili, ale jeśli ukraińska – to Polacy.

– Tu była cerkiew...

Tak dokładnie brzmiała odpowiedź. Razem z tym wielokropkiem na końcu, który wyraźnie było słychać. Czy gdyby to była wieś, o której można by podobnie powiedzieć, że „tu był kościół" – czyli polska, mówiąc całkiem wprost – też odpowiedź z wielokropkiem na końcu bym usłyszał?

Wszyscy mieliśmy to szczęście, że urodziliśmy się ponad dwadzieścia lat po wojnie. I na wojnie nie zdążyliśmy ani doznać cierpień, ani popełnić czegoś złego. W tym sensie wojna nas nie dotknęła, ale powojnie – już tak. Nawet jeśli wolelibyśmy wierzyć, że także od tego jesteśmy już wolni; i żeby inni też w to wierzyli.

– A gdyby tutaj – miałem jeszcze jedno pytanie, na pewno trudniejsze – stanął przed nami jakiś Ukrainiec, w naszym wieku, albo i młodszy nawet, i powiedział nam: „To wyście

zrobili!" – jaka odpowiedź z naszej strony byłaby tutaj... najprawdziwsza?

I dostałem na to tylko pół-odpowiedź. I wielokropek:

– Ale oni nasze wsie też palili...

Po chwili – po odpoczynku – ruszyliśmy i poszli dalej... stąd. Spokojnie. MIN NIET! I niedźwiedzi też – szczęśliwie ani jednego.